19.08.2022 | WIADOMOŚCI

Paweł Gzyl

Piotr Adamczyk: Różnorodność ról i miejsc, w których pracuję, daje mi największe spełnienie

A− A A+

Piotr Adamczyk gra obecnie więcej w USA niż w Polsce. Wraca jednak do rodzimych kin z thrillerem „Wrobiony". Nam opowiada jakim echem konflikt na Ukrainie odbił się w Hollywood.

Kup prenumeratę cyfrową Dziennika Polskiego

- Ostatnio w polskich mediach głośno o pana sukcesach za oceanem. Jak to się stało, że w pewnym momencie zaczął pan tak często grać w Ameryce?
- Tak jak pan powiedział: ostatnio w mediach zrobiło się o tym głośno. Moja perspektywa jest jednak zupełnie inna, bo ja konsekwentnie gram za granicą od wielu lat. To, co się dzieje aktualnie, to efekt popularności produkcji spod znaku Marvela i ich dobrze zorganizowanej, bardzo licznej grupy fanów. Zaczęło się od śledztwa internetowego początkującego i utalentowanego dziennikarza, działającego pod nickiem „Łysy z Marvela". To właśnie on odkrył, że prawdopodobnie mój pobyt w Atlancie jest związany z produkcją serialu „Hawkeye". I od tego momentu zrobiło się o tym głośno w mediach.

- Co sprawiło, że zdecydował się pan walczyć o role w Stanach?
- Z prostej przyczyny: nie mam teraz żadnych propozycji w Polsce. Jadę tam, gdzie jest praca. W Stanach mam ciekawe role i ciekawe wyzwania. Media zauważyły to przy okazji mojej roli w „Hawkeye", a przecież wcześniej zagrałem w serialu „For All Mankind". Przyjemność sprawiało mi wtedy to, że polscy widzowie oglądający Apple TV ze zdziwieniem zauważali, że w ich ulubionym serialu gra polski aktor. Nagle na Instagramie dostawałem miłe wiadomości od fanów o tym, jak wielkim zaskoczeniem było dla nich zobaczenie mnie w tej produkcji.

- No właśnie: trudno polskiemu aktorowi zdobyć rolę w takim serialu?
- W ogóle trudno dostać rolę w amerykańskiej produkcji. Tutejszy rynek aktorski jest bardzo nasycony. Będąc w Los Angeles mam wrażenie, że aktorzy są wszędzie. Kiedy dostałem się do warszawskiej szkoły teatralnej,

poznałem amerykańskich żołnierzy we Włoszech. Pochwaliłem się swoim sukcesem, a oni spojrzeli na mnie ze współczuciem i powiedzieli: „Aha, to znaczy, że nie udało ci się dostać na normalne studia". (śmiech) I faktycznie: w Ameryce aktorstwo to trudny los. Granie w filmach jest przywilejem nielicznych.

- To, że pochodzi pan z Polski było pana atutem?
- Tak. Tutaj jest to nazywane, że jestem aktorem z Europy Wschodniej. To nisza, która daje mi większe szanse, niż tysiącom amerykańskich aktorów, którzy marzą, że dostaną jakąś fajną pracę.

- Zagrał pan Tomasa w „Hawkeye" w bardzo bliski nam tutaj sposób. To był efekt pana inwencji?
- Oczywiście. Dzisiaj castingi polegają na tym, że aktor od razu proponuje swoją interpretację. I jeżeli ktoś pokaże jakąś ciekawą kreację, to ma szanse wygrać. Wziąłem udział w tym castingu ze swoim pomysłem na postać z mocnym polskim akcentem. Do tego poprosiłem swoją przyjaciółkę, by zrobiła mi charakteryzację „na łysą czachę". I okazało się, że taka odwaga dobrze się sprzedała. Od razu po castingu dostałem telefon, że to jest trafione i chcą takiego Tomasa. Kiedy potem zobaczyli miłego blondyna, który mówi normalnie, byli mocno zaskoczeni. (śmiech) Myślę, że właśnie dzięki temu, że narysowałem tę postać tak grubą kreską, jest ona do zapamiętania. Nasi widzowie od razu wyłapali te moje polskie wtręty. Jestem więc chyba pierwszym aktorem, który przemycił do Marvela… polskie przekleństwo. (śmiech)

- Jakie wrażenie robi taka wysokobudżetowa produkcja Disneya od środka?
- Wszystkie produkcje, w których wziąłem tu udział, to wielomilionowe przedsięwzięcia. Dzięki nim spełniam swe młodzieńcze marzenia. Zawsze bowiem chciałem zobaczyć, jak oni w tym Hollywood robią te filmy. I faktycznie: polski plan to kilka przyczep i samochodów, a w Ameryce są to całe filmowe miasta. Ma się wrażenie, że pieniądze przeciekają tu hektolitrami. Czasem gram jakąś intymną scenę i wiem, że wcale nie potrzeba do niej całej tej wielkiej machiny. Niemniej tutaj jest cały zespół ludzi – i podziwiam ich organizację. Wcale jednak nie uważam, żebyśmy w Polsce byli od nich gorsi. Jesteśmy bowiem wykwalifikowanymi filmowcami. I wiem, że amerykańscy aktorzy mieliby problem z tak intensywną pracą, w takim tempie i hałasie, w jakim my tutaj pracujemy. W Stanach o wiele więcej czasu poświęca się aktorom, mamy więc komfortowe podejście do pracy. Mimo, że wydaje się mnóstwo pieniędzy, na planie nie ma pośpiechu. Stać ich na kolejne ujęcie i kolejny dubel.

- Jak wspomina pan pojawienie się na czerwonym dywanie podczas premiery „Hawkeye"?
- To było duże zaskoczenie. Mieliśmy jeszcze pandemiczny czas, więc wyobrażałem sobie to dużo skromniej. Najbardziej zaskoczyło mnie to, jak wielu dziennikarzy chciało ze mną rozmawiać. Wszedłem przecież na ten czerwony dywan ze świadomością, że zagrałem być może zauważalną, ale drugoplanową rolę. Tymczasem okazało się, że media są mną zaciekawione. Ta skromna rola została opakowana przez liczne splendory: własny plakat, figurki do kolekcjonowania czy zainteresowanie

dziennikarzy i fanów. Ja to traktuję jako świetną przygodę. Ale dzięki temu zainteresowaniu być może jest szansa, że Tomas ze swoimi kolegami powróci jeszcze odważniej w którejś z przyszłych produkcji Marvela. Cieszy mnie to, bo bardzo się z tą Tracksuit Mafią zaprzyjaźniłem.

- **Wspomniał pan o serialu „For All Mankind". Amerykański magazyn „Rolling Stone" uznał go za najlepszą produkcję tego rodzaju w 2021 roku.**
- Początkowo wydawało się, że ten serial przeszedł niezauważony. A to dlatego, że platforma Apple TV, która go wyprodukowała, stawia na bardziej ambitną telewizję. Nie promuje na siłę swych produktów, tylko walczy jakością. Seriale, które proponuje, aspirują do opowiadania historii na wyższym poziomie. Dlatego przyciągają bardziej wymagającego widza.

- **Na czym polega oryginalność tego serialu?**
- Na opowiedzeniu alternatywnej wersji naszej najnowszej historii. Wynika ona tylko i wyłącznie z jednego faktu: że to nie Amerykanie, ale Rosjanie pierwsi wylądowali na księżycu. To zmienia losy świata. Nie kończy się wyścig obu mocarstw w kosmosie, nie zwalnia postęp technologiczny w inżynierii rakietowej, nie upada Związek Radziecki. Ja pojawiam się jako Siergiej Nikulow – szef sowieckiej agencji kosmicznej. Ta postać wchodzi w drugim sezonie i potem często powraca.

- **Co jest dla pana najciekawszego w tej roli?**
- To, że mogę prześledzić losy tego człowieka na przestrzeni wielu lat. Co sezon następuje skok w czasie o niemal dekadę i dla nas aktorów, którzy prowadzimy swe postaci, jest to szansą do opowiedzenia czyjegoś pełnego życiorysu. To rzadko się zdarza w telewizji czy w kinie. Do tego producenci „For All Mankind" dają dużą swobodę aktorom. Reżyser jest zawiadującym tą całą machiną filmową, ale to każdy z nas jest odpowiedzialny za swoją rolę. Oczywiście finalnie decyzje podejmowane są na stole montażowym, ale aktorzy mają swobodę propozycji i mogą odważnie je przedstawiać.

- **Po ataku Rosji na Ukrainę wszystko, co rosyjskie, źle się nam kojarzy. To będzie miało wpływ na czwarty sezon serialu i pana rolę?**
- Przez to, że mamy tu alternatywną wersję historii, jej scenarzyści nie będą opowiadali o tym konflikcie wprost, tylko prawdopodobnie będą grali trochę na naszych skojarzeniach. Zresztą my, aktorzy, nie wiemy co będzie dalej. I nawet, kiedy rozpoczynamy kolejny sezon, nie mamy pojęcia, jak on się zakończy. To scenarzyści są demiurgami, którzy tworzą tę historię. Dzięki temu aktorzy unikają antycypacji – i ta nieświadomość, co czeka naszą postać, jest ekscytująca.

- **A jak wojna w Ukrainie odbiła się echem w Hollywood?**
- Pod koniec lutego miałem już samolot do Los Angeles i miałem tam lecieć po zakończeniu zdjęć do „Listów do M. 5" w Polsce. Wtedy wybuchła wojna. Przełożyłem więc lot, bo nie wiedziałem, co nas czeka. Razem z moimi wspólnikami z restauracji, którą mamy w Warszawie, pojechaliśmy z jedzeniem na granicę, próbując jakoś pomóc. I potem z tymi obrazami ukraińskich uciekinierów w pamięci poleciałem do Stanów.

Wydawało mi się, że cały świat żyje tą wojną. Tymczasem okazało się, że tutaj ważniejszy jest… proces Johnny'ego Deppa i Amber Heard.

- Amerykanie zbagatelizowali ten konflikt?
- Nie wszyscy. Pojawiły się ukraińskie flagi na ulicach i na balkonach. Ponieważ jeżdżę samochodem, który ma naklejone ukraińskie serduszko, czasem kiedy ktoś przejeżdża, to macha i pozdrawia, myśląc że jestem Ukraińcem. To poparcie więc jest, ale to nie najważniejszy temat dla Amerykanów. Co więcej: nasza pomoc dla Ukraińców sprawiła, że wróciło tutaj pozytywne myślenie o Polsce. Choć niestety, w ostatnich dniach newsy z Polski o zatruciu Odry i bezczynności władz, znowu budują nam wizerunek zacofanego kraju z Europy Wschodniej.

- Powiedzmy o jeszcze jednym pana amerykańskim serialu – „Nocne niebo". Jakiego rodzaju to przygoda?
- To produkcja Amazona z Sissy Spacek i J.K. Simmonsem w rolach głównych. Dla mnie była to wspaniała okazja do zagrania u boku znakomitych aktorów, ale też niesamowita wycieczka do Argentyny. Gram tam postać z innej planety, bardzo tajemniczą – płatnego zabójcy. Miałem mocną charakteryzację: chorą cerę, długie włosy. Myślę, że w Polsce miałbym trudność ze zdobyciem takiej roli.

- Pracował pan w różnych miejscach Ameryki – od Los Angeles po Atlantę. Lubi pan ten turystyczny aspekt aktorstwa?
- Bardzo. To jest najciekawszy rodzaj podróżowania, kiedy się jedzie pracować. Filmowcy wyszukują zawsze ciekawe lokacje. „Nocne niebo" kręciliśmy w śmiesznie brzmiącej dla nas prowincji Jujuy (wym. Huhuj), która jest trochę jak z innej planety. Kamienie są tam we wszystkich kolorach tęczy, krajobraz wydaje się wprost nie z tej Ziemi. Myślę, że jako turysta nigdy bym tam nie pojechał, bo nie jest to miejsce turystycznie popularne. Dlatego uwielbiam te filmowe podróże. Gdy grałem w teatrze, uwierało mnie, że byłem przywiązany do jednego miejsca. Odkąd gram głównie w filmach, spełniają się moje podróżnicze marzenia. Taką podróżą były dla mnie też niegdyś zdjęcia do filmu „Wrobiony", zrealizowane we włoskim miasteczku Porto Ercole.

- No właśnie: we „Wrobionym" grają aktorzy z Polski, z Włoch i z Niemiec. Czuł się pan jak ryba w wodzie w tym międzynarodowym towarzystwie?
- Tak, dobrze się czułem. Pewnie dlatego, że lubię swoją pracę. (śmiech) Miałem okazję i w pewnym sensie widz także będzie ją miał, odczuć wyjątkową atmosferę nadmorskiego, włoskiego miasteczka poza sezonem. To miejsce tak gwarne i tłumne w miesiącach letnich - zimą zasypia i jest w tym jego śnie coś niezwykle magicznego. Piotr Śmigasiewicz, debiutujący reżyser i scenarzysta, wraz z operatorem Arkiem Tomiakiem uchwycili tę magię w naszym filmie. Ten film z różnych względów powstawał z przerwami. Kręciliśmy we Wrocławiu, Berlinie i Włoszech właśnie, powracając i dopieszczając tę historię.

- Jak się panu grało w takim niezwykłym rytmie produkcyjnym?
- To trochę jak w teatrze. W pewnym momencie kończymy grać jakiś spektakl: oddajemy kostiumy i dekoracje. Wtedy wydaje się nam, że znika

w nas pamięć o tym przedstawieniu. Tymczasem po kilku latach dochodzi do wznowienia przedstawienia. Wtedy wchodzimy na scenę i okazuje się, że doskonale wszystko pamiętamy. Gdzieś w nas to zostało. Nie wykasowuje się z mózgu. Podobnie było z tym filmem. Postać Dominika we mnie żyła i powracała co jakiś czas. W tym okresie zebrałem nowe doświadczenia i zmieniłem się pod ich wpływem – i to przeniosło się na tę postać. Grając we „Wrobionym”, miałem świadomość, że ten film nie jest jeszcze zakończony i wrócimy do niego. Było to więc ciągłe poszukiwanie. Mam nadzieję, że to odbiło się na nim pozytywnie.

- **Jak trafił pan do tego filmu?**
- Zaufałem młodemu człowiekowi, którego spotkałem po prostu na ulicy. Grałem wtedy w teatrze w Rzymie. Nagle młody Polak, wyglądający jak student, zauważył mnie na ulicy, podszedł i powiedział z wielkim przejęciem, że pisze scenariusz i wyobraża mnie sobie w głównej roli. Zainteresowało mnie to i zaufałem mu, choć początkowo wątpiłem, czy zbierze on pieniądze na ambitny film o poszukiwaczu zaginionego obrazu Caravaggia. Był to bowiem mało komercyjny projekt. A jednak, po kilku naszych spotkaniach okazało się, że jest szansa na stworzenie takiego filmu. Piotr Śmigasiewicz napisał swój wymarzony scenariusz i w końcu znalazł młodego i jak on pełnego nadziei i optymizmu producenta – Kubę Rudnika. Tak doszło do nakręcenia polskiego filmu we Włoszech z międzynarodową obsadą.

- **Jak się panu pracowało z reżyserem, który realizował swój pierwszy film fabularny?**
- Piotr jest z artystycznej rodziny. Ma wyjątkowe spojrzenie na świat. Mimo, że to jego debiut, miałem wrażenie, że jego własny indywidualny język filmowy jest już ukształtowany. Bardzo konsekwentnie budował sceny, filtrując je przez własną wrażliwość. Zebrał wokół siebie wspaniałych, doświadczonych twórców filmowych. Mieliśmy wszyscy świadomość, że uczestniczymy w czymś nowym. Także z tego względu, że polskie ekipy rzadko jeszcze wtedy kręciły za granicą. Wspominam ten film jako wyjątkową przygodę.

- **Grany przez pana Dominik skrywa pewną tajemnicę. Trudno zagrać bohatera z przeszłością, którą samemu trzeba sobie dopowiedzieć?**
- Każda rola jest taka. Zawsze trzeba sobie wymyślić przeszłość granej przez siebie postaci. Żeby była ona z krwi i kości, musi mieć swoją historię. Dlatego wielokrotnie rozmawiałem z Piotrem i wymienialiśmy pomysły co do przeszłości Dominika.

- **Jak się panu pracowało z kolegami z Włoch i z Niemiec?**
- Reżyserowi udało się zebrać naprawdę doborową obsadę. Większość z aktorów w międzyczasie porobiła międzynarodową karierę. Albo już wcześniej byli znani. Torsten Voges, Luca Calvani, Gedeon Burkhard, Alessandra Mastronardi. To ludzie mający na koncie takie filmy, jak „Bękarty wojny” czy „Big Lebowski”. Bardzo zaprzyjaźniliśmy się w tej grupie i jesteśmy do tej pory ze sobą w kontakcie. Cieszę się, że niebawem spotkamy się na premierze „Wrobionego” w Polsce. Wszyscy jesteśmy ciekawi końcowego efektu.

- Nie widział pan jeszcze finalnej wersji „Wrobionego”?
- Ja nie lubię oglądać filmów ze swoim udziałem, które dobrze pamiętam. Bo to jest szok obejrzenia roli, którą przed chwilą jakoś się sobie wyobrażało. Pamięta się każde ujęcie i myśli: „O, wybrali ten drugi dubel, a mnie się wydawało, że lepszy był ten trzeci”. Tymczasem tutaj minęło sporo czasu, od kiedy zaczęliśmy zdjęcia i zapomniałem już, co ja tam chciałem zagrać. Dlatego będę patrzył na „Wrobionego” bardziej jak widz, niż oceniający sam siebie aktor. I szczerze mówiąc, te moje role oglądane z dystansu, bardziej mi się podobają. Mam nadzieję, że podobnie będzie z „Wrobionym”.

- „Wrobiony” pokaże pana trochę od innej strony niż ostatnio się pan prezentował w polskim kinie. Bo od pewnego czasu jest pan postrzegany jako aktor komediowy. Tymczasem tutaj wraca pan do dramatycznej roli.
- Szczerze powiedziawszy, nie chciałbym przypinać sobie żadnej etykietki. Mam wrażenie, że każdy widz postrzega aktora inaczej – przez pryzmat akurat tego, co oglądał. Inaczej postrzega mnie ktoś, kto zna mnie z teatru, a inaczej ktoś, kto widział ze mną jakąś komedię. Mam to szczęście, że gram w bardzo różnych gatunkach. Mało tego: by walczyć z tym jednostronnym postrzeganiem w Polsce, wybieram zupełnie nowe drzwi w Stanach Zjednoczonych. Bo tutaj nie zderzam się z szufladkowaniem. Zaczynam właściwie jako ponowny debiutant. Cieszy mnie, że role, które zagrałem w USA, tak bardzo różnią się od siebie. Tak odważnych propozycji, poprzez ten wspomniany rodzaj postrzegania mnie, prawdopodobnie bym w Polsce nie otrzymał. Dlatego to głód nowych przygód zagnał mnie aż na drugą stronę oceanu. Ale cóż: droga zawodowa każdego aktora jest inna. Rola we „Wrobionym” jest dla mnie wspomnieniem ciekawej artystycznej przygody. Mam wrażenie, że w dobie, gdy o tym, co oglądamy decydują potężne filmowe produkcyjne korporacje, „Wrobiony” jest prawdopodobnie jedną z ostatnich tego typu niezależnych produkcji. Wracając jednak do pana pytania, nie uważam komedii za jakiś gorszy gatunek. Mało tego, mam wrażenie, że jest bardziej wymagająca niż dramat. A nasz thriller także czasem rozluźnia atmosferę, wprowadzając to tu, to tam, komediową scenę.

- Polacy kochają pana jednak w komediowych rolach, dzięki czemu choćby niedawno serial „Kowalscy kontra Kowalscy” okazał się hitem. Szkoda panu, że agresja Rosji na Ukrainę sprawiła, iż nie będzie trzeciego sezonu, bo Polsat nie chce kupować licencji na tę produkcję od Rosjan?
- Doskonale rozumiem i pochwalam tę decyzję stacji. Kiedy grałem w pierwszym i drugim sezonie „Kowalskich” nie mogłem pojawiać się tak często, jak chciano, na planie „For All Mankind”. Amerykanie byli zdziwieni, że dałem im tak trudne terminowe warunki, dlatego moja postać w tym serialu musiała być okrojona. Teraz nie będzie trzeciego sezonu „Kowalskich”, zrobiło mi się więc w kalendarzu więcej miejsca na inne projekty.

- Chce pan być w przyszłości obecny na obu rynkach – w Polsce i w Stanach?
- Tak. Bardzo to lubię. Mało tego: mam nawet czasem jeszcze propozycje z

Włoch. Stąpam więc własnym tempem, grając tu i tam. Mam międzynarodowe doświadczenia i to najmilszy dla mnie sposób uprawiania tego zawodu. Ale niezwykle tęsknię za rolami radiowymi, bardzo lubię też dubbing. Ostatnią moją tego rodzaju przygodą w Polsce, okazał się powrót do głosu Zygzaka McQueena z „Aut”. Kiedyś pracowałem przy tym filmie z Witoldem Pyrkoszem, a teraz – z Marianem Opanią. Ta różnorodność dziedzin aktorstwa, ról i miejsc w których pracuję, daje mi największe spełnienie. Zawsze o tym marzyłem. Być może dlatego, że szybko nudzę się powtarzalnością. A nowość zawsze mnie interesuje.

- **Na koniec zapytam pana o żonę: głośno u nas o tym, że zagra ona za oceanem w filmie „Babylon” u boku samego Brada Pitta. Jak spełniają się takie marzenia?**
- To film owiany tajemnicą, więc nie mogę nic zdradzać – tym bardziej, że to nie moja rola. Na pewno będzie to duże wydarzenie. Spotkanie z Bradem Pittem było dla Karoliny pełne emocji. O filmie „Babylon” mówi się bardzo dużo. Ci, którzy widzieli jego wstępną wersję, określają go jako arcydzieło. Przewiduje się, że będzie on murowanym kandydatem do Oscara. Są więc wobec tego filmu jeszcze przed premierą wielkie oczekiwania. Tym bardziej dumny jestem z Karoliny, że pojawi się w tej produkcji.

- **To oznacza, że jeszcze więcej będzie pana trzymało w Stanach niż w Polsce?**
- Nie wiem. Póki co, nie czuję się nigdzie trzymany. Wciąż zadziwia mnie, jak technologia zmniejszyła ten świat. Wirtualnie możemy być tu i tam w tej samej chwili. Fizycznie – po kilkunastu godzinach lotu. A co czeka za rogiem? Oby kolejna, miła niespodzianka.

film Piotr Adamczyk Piotr Adamczyk wywiad